



KAROLINA PAWŁOWSKA

redaktor wydania

Nikt nie ewidencjonuje wypadków, w których zostają uszkodzone dzieci rolników. Ustawa zwalnia z obowiązku prowadzenia takich statystyk zarówno PIP, jak i KRUS. Tymczasem powierzanie prac gospodarskich dzieciom jest zjawiskiem powszechnym, zwłaszcza w małych gospodarstwach rodzinnych. Wciąż dochodzi do tragedii, których przyczyną niezrządkiem jest brak wyobraźni. Zwłaszcza w czasie żniw, kiedy następuje nasilenie prac polowych, urzędnicy i księża apelują o szczególną rozważę, a przede wszystkim zdrowy rozsądek. ■

ZA TYDZIEŃ

■ Następny numer koszalińskiego „Gościa Niedzielnego” będzie POMOCĄ W PRZEŻYWIANIU SPOTKANIA RODZIN W SANKTUARIUM NA GÓRZE CHELSKIEJ

Zmarła s. Immakulata J. Adamska

Służyła wielu

W nocy 24 lipca w wieku 85 lat zmarła s. Maria Immakulata od Ducha Świętego. Była jedną z pierwszych karmelitanek, które przyjechały do Bornego-Sulinowa, do „miasta bez Boga”, jak zwykło się mówić o dawnej bazie wojsk sowieckich.

W ostatnich tygodniach wyraźnie pogorszył się jej stan zdrowia. Jak mówią jej współsiostry, Oblubieniec „wykradł” ją jednak wcześniej. Dla wielu była nie tylko autorką licznych publikacji książkowych – przetłumaczyła na język polski wszystkie niemal dzieła Edyty Stein, jest autorką licznych biografii świętych Karmelu oraz studiów duchowości – ale przede wszystkim matką duchową i przewodniczką. Ci, którym pomagała prostować i odnajdywać drogi, ukuli powiedzenie: „jeśli masz tarapaty, jedź do Immakulaty”. – Dla wielu osób

świeckich i konsekrowanych, kapłanów, zwłaszcza młodych i sióstr zakonnych była przewodniczką i duchową matką, pomagała rozpoznać drogi powołania, przezwyciężać trudności i kryzysy, dążyć wytrwale do życia w bliskości Boga – mówi przeorysza, s. M. Teresa. Uczestniczyła w kolejnych fundacjach i tworzeniu nowych wspólnot Karmelu. Przez wiele lat była mistrzynią nowicjatu w Gdyni Orłowie, sama żartowała, że wychowa-

Ciało s. M. Immakulaty spoczęło w ogrodzie przy klasztorze, w którym spędziła ostatnie lata życia



KAROLINA PAWŁOWSKA

ła wiele pokoleń przeorysz. Jak wspominali towarzyszący s. Immakulacie w ostatniej drodze, była człowiekiem modlitwy, a zarazem wielkiej aktywności. Miała głowę pełną pomysłów. Nie potrafiła usiedzieć na miejscu beczynnym. Znana była również ze swojej wielkiej życzliwości i poczucia humoru. – Kiedy myślę o książkach s. Immakulaty, widzę od razu przed

sobą jej lekko przymrużone oczy i słyszę zadane z uśmiechem pytanie: „A ksiądz chociaż jedną przeczytał?”. Jakoś nie dowierzała, że ja jestem w stanie cokolwiek przeczytać – wspomina z uśmiechem ks. Jerzy Stadnik, proboszcz parafii pw. św. Alberta w Bornem-Sulinowie. – I taką ją zapamiętam. A także niejedno upomnienie, które od niej usłyszałem i wielce sobie cenię.

KAROLINA PAWŁOWSKA

SŁOWINO NA LUDOWO



ROBERT MURI

W Słowinie odbyła się II edycja Urodzin Chaty. Festyn przyciągnął miłośników sztuki rzemiosła i kultury ludowej. Dzięki zaangażowaniu społeczeństwa miejscowego impreza przybiera kształt największego pikniku kulturowego w regionie. Prócz występów kapel ludowych i rozrywkowych zorganizowano pokazy sztuki kowalskiej i ciesielskiej. Za pieniądze uzbierane ze sprzedaży i licytacji podopieczni ze świetlicy w Słowinie pojedą na wycieczkę wakacyjną. Przyjaciele wsi Słowino, Maria i Waldemar Witkowie z Biura Dokumentacji Zabytków w Szczecinie, zorganizowali konkurs malarski i czuwalni nad stroną merytoryczną budowy chaty. Zabawę do późnych godzin wieczornych uświetnił zespół New Old Stars. **RM**

Podczas festynu nie zabrakło gier i zabaw

Tragedie na drogach

STRĄCZNO. Trzy osoby, w tym dwoje dzieci (9 miesięcy i niespełna 4 lata) oraz kierowca skody zginęli na drodze K-22 w pobliżu miejscowości Strączno w powiecie wałeckim. Dwie osoby ranne, pasażerka skody i kierowca ciągnika rolniczego, zostały przewieziona do szpitala. Wakacje są okresem, kiedy na naszych drogach bardzo często dochodzi do wypadków drogowych, przede wszystkim na głównych trasach przelotowych. Apele policji o zachowanie szczególnej ostrożności nic nie dają. Niemal każdego dnia dochodzi do wypadków drogowych. – Z relacji naocznych świadków wynika, że kierujący ciągnikiem rolniczym miał zamiar zjechać z drogi w lewo i gdy rozpoczął ten manewr, będąc przednią osią na lewym pasie ruchu, z przeciwną nadjechał samochód osobowy skoda Oktavia, doprowadzając do zderzenia pojazdów. Skoda po uderzeniu w ciągnik została odrzucona na pobocze, gdzie uderzyła w drzewo – mówi kom. Krzysztof Dębiński – oficer prasowy KPP w Wałczu. Śmierć na miejscu poniosły dzie-



KRZYSZTOF DĘBIA

Taki widok na przelotowych drogach prowadzących nad morze to niemal codzienność

ci i kierowca skody. Wszyscy byli obywatelami Niemiec, mieszkańcami Berlina. Pasażerka skody, 26-letnia Polka, została przewieziona do szpitala w Wałczu. Jej stan jest określany jako bardzo ciężki. Kierowca ciągnika rolniczego z ogólnymi potłuczeniami przebywa na obserwacji w szpitalu. Od kierowcy ciągnika pobrano krew do badań oraz przebadano go alkomatem, który potwierdził, że 58-letni mężczyzna był trzeźwy. W miejscu, w którym doszło do tragedii, potworzyły się korki. Droga była nieprzejezdna przez ponad 3 godziny. Trwają czynności procesowe, mające na celu ustalenie przyczyn wypadku.

Kobiety do autobusów!

SŁUPSK. Kobiety za kierownice autobusów – taki pomysł chce wcielić w życie Miejski Zakład Komunikacji w Słupsku. – Nie jest to pomysł całkiem nowy, bo dwadzieścia lat temu panie były kierowcami trolejbusów. Teraz nastąpiłaby reaktywacja – mówi Hubert Boba, pełnomocnik do spraw public relations Zarządu MZK. Powód jest prosty: coraz więcej kierowców-mężczyzn wyjeżdża do pracy za granicę, zatem trze-

ba szukać pracowników wśród kobiet, które po odpowiednim kursie dadzą sobie radę nawet z prowadzeniem tzw. przegubowców. Dotychczas zgłosiły się trzy chętne panie, które teraz są szkolone. Na ulice wyjadą autobusami najprawdopodobniej w listopadzie. Słupski MZK mógłby przyjąć do pracy w tej chwili dziesięć kobiet. Wymagane warunki to ukończone 21 lat, dobry stan zdrowia i prawo jazdy kategorii B.

Z prowadzeniem zwykłych autobusów każda chętna pani powinna poradzić sobie bez problemów



Kto żyje w prawdzie...

KOSZALIN. Siedmiu osadzonych w koszalińskim Zakładzie Karnym i Areszcie Śledczym przystąpiło do sakramentu bierzmowania. Podczas poprzedniej takiej uroczystości, która odbyła się w kwietniu, zgłaszali się kolejni chętni do przyjęcia sakramentu. – Potem spotykaliśmy się dwa razy w tygodniu. Rozmawialiśmy o Bogu i modliliśmy się. Jeden z osadzonych poprosił też o chrzest. Teraz stają się dojrzałymi chrześcijanami – tłumaczy franciszkanin o. Ludwik Bartoszak, który od wielu lat jest kapelanem Aresztu Śledczego i Zakładu Karnego. Zapewnia, że praca z więźniami to wdzięczna służba. – To daje mi satysfakcję! Bardzo lubię tu przychodzić, jakoś się rozumiemy – dodaje. – Pan Bóg nikogo nie zniewala, nikogo nie przymusza do przyjęcia dobra –

mówił bp Tadeusz Werno, który udzielił bierzmowania w kaplicy Zakładu Karnego przy ul. Mieszka I. – Kto żyje w prawdzie, ten żyje w wolności – te słowa biskupa ze względu na miejsce nabrały szczególnego znaczenia. Co skłoniło osadzonych do przyjęcia bierzmowania? – To jest mój powrót do Kościoła – tłumaczy 26-letni Paweł, który odsiaduje wyrok za włamania. Wyjdzie na wolność za dwa lata i dzięsień miesięcy. – Obiecałem sobie, że będę wtedy inaczej żyć: praca, rozmowa z Bogiem. Nie wie, czy od razu stanie się dojrzałym chrześcijaninem. Przyznaje jednak, że czuje się dowartościowany możliwością przyjęcia sakramentu. – Nie przesładowują mnie już myśli, żeby zrobić coś złego, żeby coś ukraść – przyznaje najmłodszy z osadzonych.



RADEK KOLESNIK

Kto żyje w prawdzie, ten żyje w wolności – mówił bp Tadeusz Werno do osadzonych w koszalińskim Zakładzie Karnym

Gmina cysterska

DARŁOWO. Dobięły końca opracowania szlaku cysterskiego w gminie Darłowo. Oprócz wydania 5 tys. map, wykonane zostaną duże tablice reklamowe w Darłowie, Dąbkach i Wiciu, z mapą szlaku cysterskiego, które będą kierować turystów odwiedzających naszą okolicę. Na mapie umieszczono 19 ciekawych obiektów i miejsc charakteryzujących nasz region. Opisane one zostały w trzech językach dla gości zagranicznych. Trasa licząca ponad 106 km przebiegać będzie przez gminę Darłowo, zahaczając o dwie ościennne gminy i miasto Darłowo. Cystersi zostali sprowadzeni przez Świętopelka II do Bukowa Morskiego w

1248 r. Założyli 25 osad na ziemi darłowskiej, wprowadzając rzemieślnictwo, rybołówstwo i rolnictwo na wysokim poziomie.



ARCHIWUM GMINY

Podążając cysterskim szlakiem, turyści będą mogli poznać walory i zabytki regionu

Dawno temu...

Na drewnianych kołach

Rowery na drewnianych kołach, bagnety, granaty i hełmy, żelazka na węgiel i niezwykle, drewniane pralki, wirówki i magle oraz wiele innych cudów techniki sprzed wieku można zobaczyć na wystawie „Dawno temu...”, zorganizowanej w najstarszym obiekcie Jastrowia, na parterze Kamennego Domu.

Dariusz Górzny przed 10 laty przyjechał do Jastrowia z niewielkiego Witankowa koło Walcza. Dzisiaj ma swoją niewielką firmę, która zajmuje się renowacją mebli.

ZDJEŃCIA WALDEMAR KUJAWA



Z miłości do staroci

W zasadzie pracuje sam, a wszystkie stare przedmioty odzyskują swój blask dzięki jego umiejętnościom i zamiłowaniu do staroci. Lubi swoją pracę, a w każdą czynność wkłada wiele serca. Ale jego prawdziwą pasją jest kolekcjonowanie. – Na początek było to zapewne zbieractwo, ale teraz to już zamierzone kolekcjonerstwo – mówi Dariusz Górzny. – Zaczęło się od tego, że dyrektor mojej szkoły w Witankowie miał niewielką kolekcję bagnetów. Bardzo mi to imponowało. Pewnego dnia w moje ręce wpadł bagnet dziadka. Bagnet do dziś jest w moich zbiorach i zapewne zostanie ze mną do końca życia. Dostałem go w prezencie i tak zaczęła się moja pasja. To był mój pierwszy okaz. Dzisiaj mam kolekcję około 70 bagnetów różnego typu, chyba jedną z największych w regionie.

W jego zbiorach są nie tylko bagnety, ale wiele innych niezwykłych przedmiotów, od dzwoneczków do rowerów, poprzez pocztówki, wieszaki na ubrania, książki i dokumenty po militaria

Dariusz Górzny prezentuje unikatowy rower na drewnianych kołach i z reflektorem – lampką naftową

oraz wielkie maszyny rolnicze, np. XIX-wieczną młóckarnię. A zdecydowana większość eksponatów pochodzi z Jastrowia, były one używane przez mieszkańców miasta przez minione wieki. – Dzisiaj świadczą o historii miasta, które kiedyś było małym centrum przedsiębiorczości na Pomorzu i tętniło biznesowym życiem – opowiada kolekcjoner. – Wiele rzeczy udało się pozyskać od mieszkańców miasta, inne dzięki wymianie z innymi kolekcjonerami, a jeszcze inne dzięki zakupom na przeróżnych giełdach kolekcjonerskich.

Codzienne niecodzienne

Przez kilka lat 36-letni mieszkaniec Jastrowia skutecznie „ukrywał się” ze swym niezwykłym zbiorem przeróżnych rzeczy, które przed laty służyły mieszkańcom miasta nad Oską. Nie zamykał przed nikim prywatnego muzeum, ale nie miał

dotychczas okazji, aby pokazać swoje cuda techniki publicznie i zaprezentować się szerszej widowni. Teraz jest inaczej. – Wszystko za sprawą pewnego spotkania, w którym uczestniczyli m.in. mój kolega Wojciech Olek z Muzeum Ziemi Wałeckiej i dyrektor Ośrodka Kultury Wiesław Puzio – wspomina Dariusz Górzny. – Wówczas padł pomysł, aby zorganizować wystawę w Jastrowiu. Już niedługo potem mój pomysł doczekał się realizacji, w której pomagała i nadal pomaga Anna Akolińska z Punktu Informacji Turystycznej w Ośrodku Kultury w Jastrowiu. Tam też zorganizowano ekspozycję. Do lokalu na parterze dawnego ratusza zaczęto zwozić niecodzienne przedmioty. – To znakomite połączenie. W najstarszym obiekcie w mieście zorganizowano wystawę najstarszych przedmiotów i rzeczy, służących swego czasu

Sowieccy i polscy żołnierze z okresu II wojny światowej budzili sensację

mieszkańcom Jastrowia – zauważa Anna Akolińska. Przez wiele dni Dariusz Górzny kompletował wystawowe okazy.

Wraz z szefową Punktu Informacji Turystycznej przygotowali dla odwiedzających wystawę złożoną z wielu niezwykłych eksponatów, prawdziwych cudów. Można zobaczyć np. ponad stuletni rower na drewnianych kołach i z rowerową lampką naftową, która po wieczornej przejażdżce służyła właścicielowi jako latarka. Nie brakuje przedmiotów, których kiedyś używały w swych kuchniach gospodynie domowe. Są też drewniane pralki i wyżymaczki, żelazko na węgiel, porcelana, naczynia i sztucce, niezwykle meble, maszyna do pisania, zegary, lustra, cała kolekcja narzędzi stolarskich, a także wiele militariów z bronią i granatami włącznie. No i oczywiście bagnety. Można także spotkać unikatowe książki i dokumenty sprzed wieków i całą kolekcję rowerowych lampek oraz dzwoneczków i wiele innych ciekawych przedmiotów, służących jastrowianom przez wiele lat. Wystawa potrwa przynajmniej do końca studenckich wakacji, a otwarta będzie codziennie od poniedziałku do piątku, w godzinach od 8.00 do 16.00.

WALDEMAR KUJAWA



**Dzieci kierujące
traktorami,
przejażdżki
na przyczepach
wyładowanych słomą,
odstąpione silniki maszyn
– takie widoki
to na wsiach codzienność.**

tekst

KAROLINA PAWŁOWSKA

Od lat stara się z tym walczyć Państwowa Inspekcja Pracy, nieustannie przypominają o tym urzędnicy Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego, a mimo to bezmyślność i lekceważenie zasad BHP doprowadzają do tragedii.

**Wsi spokojna,
wsi wesola...**

Jak wynika z danych KRUS, w Koszalinie do oddziału regionalnego i podległych placówek terenowych w 2006 r. zgłoszono 189 zdarzeń wypadkowych, którym ulegli rolnicy. – To jest o osiemnaście zdarzeń, a więc 9 procent mniej niż w roku poprzednim – wyjaśnia Małgorzata Tołłoczko, kierownik samodzielnego referatu ds. prewencji, rehabilitacji i orzecznictwa lekarskiego koszalińskiego oddziału KRUS. – Najczęstszymi przyczynami wypadków były i nadal są nieznamość i nieprzestrzeganie zasad bezpiecznej pracy, zły stan nawierzchni podwórzy i bałagan w pomieszczeniach gospodarczych, pośpiech i nieostrożność, a także wykonywanie pracy po spożyciu alkoholu. Tylko w tym roku koszaliński oddział Państwowej Inspekcji Pracy odnotował dziesięć wypadków śmiertelnych, których ofiarami byli rolnicy. Spraw dotyczących ciężkiego uszkodzenia ciała jest dużo więcej. Nie wszystkie zresztą są zgłaszane. – Proszę nie zapominać, że jesteśmy przed zniwami



– zaznacza inspektor. – W tym okresie dochodzi do największej liczby wypadków, także z udziałem dzieci. Od 2004 r. nie wiadomo, ile dzieci ucierpiało w związku z pracami w rolnictwie. Dlaczego? Bo zmiana w ustawie o ubezpieczeniach społecznych rolników wyłączyła z ubezpieczenia wypadkowego dzieci rolników. Według nowych przepisów dzieciom rolników nie przysługują żadne świadczenia w związku z nieszczęśliwymi wypadkami, więc statystyki ich nie obejmują. PIP dysponuje jedynie doniesieniami z policji i mediów oraz własnym doświadczeniem.

Leszek Stryjewski, starszy inspektor pracy z koszalińskiego oddziału PIP, który od wielu lat kontroluje gospodarstwa z terenu podlegających mu ośmiu

powiatów, przykładami zdarzeń może sypać jak z rękawa. – Chłopczyk, który znalazł się na taśmie rozrzutnika i dostał się w podajnik rozrzucający obornik, ojciec, który przez nieuwagę przejechał ciągnikiem dziecko, sześciolatka, która ześliznęła się ze stopnia kombajnu i wpadła pod koła – te historie powtarzają się każdego roku – przypomina Stryjewski. Wyciąga z szafy zdjęcie rezolutnego chłopczyka. Robert miał sześć lat i był ciekawym świata dzieckiem. Usiłował przejść pod nieosłoniętym wałkiem odbioru mocy. Efekt? Dotkliwie obrażenia, połamane kości, porzywana twarz. Robert przeżył, ale ślady spotkania z kombaj-

**Właściwa opieka
dorosłych
może zapobiec
tragicznym
wypadkom**

nem ziemniaczanym będzie nosić na ospzeczonych buzi do końca życia. O szczęściu może też mówić dwunastoletnie dziecko, które w zeszłym roku ule-

gło wypadkowi podczas obsługi urządzenia do mielenia mięsa w gospodarstwie rodziców. Skończyło się na zmiążdżeniu lewej ręki. Rękę stracił także trzylatek podczas zapowiadającej się niewinnie przejażdżki na kosiarce. – Odkąd dzieci rolników przestały podlegać ubezpieczeniu wypadkowemu, KRUS z mocy prawa przestał ewidencjonować te wypadki. My też nie posiadamy takich danych, chyba że dochodzi do jakiegoś nagłośnionego przez media zdarzenia, jak w Karści-

y dramat

nie – przypomina Mieczysław Tomaszewski z koszańskiego oddziału PIP.

Kto zwinął?

Piętnastoletni Krzysiek chciał sobie w wakacje dorobić. W małym Karścinie w gminie Karlino okazji do znalezienia pracy, nawet sezonowej, są raczej niewielkie. Jedyną szansą miał być mieszczący się tu zakład rolny. – Pytał nas o zgodę – mówi cicho mama Krzysia. – Chciał zarobić na zeszyty, książki do szkoły. Zawsze był pracowity. Do wypadku doszło na początku lipca, gdy piętnastolatek wraz z dwa lata starszym kolegą dostali się w pobliże dziesięciometrowego zbiornika na zboże. W pewnym momencie na chłopaków posypały się tony ziarna. Starszy próbował ratować kolegę. Nie miał szans ani on, ani wezwani na pomoc pracownicy gospodarstwa. Wśród nich był także ojciec Krzysia. Żeby wydobyć chłopca, konieczne było wycięcie otworów w silosie. W stanie ciężkim został przewieziony do szpitala w Koszalinie, ale mimo starań lekarzy nie udało się wyprowadzić chłopaka ze śpiączki. Po kilku dniach zdecydowano, że czynności życiowych nie uda się już przywrócić. Gdy rozmawiałam z rodzicami Krzysia, wciąż jeszcze mieli nadzieję, że ich syn będzie żył. O jak najlepszą opiekę medyczną zabiegali także właściciele gospodarstwa, w którym doszło do wypadku, mimo że, jak zapewniają, obydwa chłopcy u nich nie pracowali. – To nie poczucie winy, bo tu nie ma naszej winy – mówi mąż właścicielki zakładu. – Tyle, że ja w tej wsi muszę jeszcze żyć. No i to wielka tragedia. Jak opowiada rodzic

ce, piętnastolatek pracował w zakładzie od początku wakacji. Innego zdania są właściciele gospodarstwa. U nich nikt bez umowy nie pracował, i kropka. – Brygadziści ich stąd pogonił, ale oni cały czas się kręcili, szukali, a może się uda – ucina krótko mąż właścicielki. Prokuratura, podobnie jak Państwowa Inspekcja Pracy, bada tę sprawę. Według Zuzanny Ostrowskiej, prokuratora rejonowego w Białogardzie, w zeznaniach świadków pojawiają się rozbieżności, które należy wyjaśnić. Tyle że niezależnie od ustaleń prokuratury, nic nie przywróci życia Krzysiovi.

Przerazająca ignorancja

Każdego roku w województwie zachodniopomorskim podobnych wypadków w czasie prac polowych i gospodarskich jest kilkanaście. Niedawno trzynastolatek podczas rąbania drewna siekierą uciął sobie palec. Tymczasem, jak wykazała kontrola PIP, w gospodarstwach prawie w ogóle nie dba się o przepisy BHP. Zagrożenia stwarzają przede wszystkim niezabezpieczone otwory studni i szamb, zapadłe stropy i uszkodzone dachy. Nie lepiej jest z maszynami. Główne przyczyny wypadków to niska świadomość i lekceważenie zagrożeń. – Do 1

lipca mieliśmy możliwość wchodzić jedynie do przedsiębiorstw rolnych. W gospodarstwach indywidualnych nasze działanie nastawione było jedynie na instruktaz, doradztwo i szkolenie. Nie mogliśmy stosować natomiast środków prawnych – informuje inspektor Stryjewski. Także KRUS nie ma prawa ingerowania w sposób i metody pracy rolnika, dopóki nie ulegnie on wypadkowi. – Stąd też wysokiej rangi nabiera działalność prewencyjna, mająca na celu przybliżenie rolnikom i ich rodzinom problematyki bezpieczeństwa i higieny pracy – podkreśla Małgorzata Tołłoczko. Stałe pouczanie i przypominanie, zarówno przez pracowników PIP, jak i KRUS przynosi pewne efekty, choć niektórzy wydają się odporni na uwagi. – Mamy odczucie, że wypadki, do których dochodzi, są coraz drastyczniejsze. Trudno powiedzieć, czy jest ich więcej. Jest natomiast zwiększone zagrożenie wypadkowe w gospodarstwach rodzinnych bez udziału kapitału zagranicznego, gdzie są trudności finansowe – obserwuje Stryjewski. – Wszystko rozbija się o brak pieniędzy. W spółkach rolnych zwykle szpręt, na którym się pracuje, jest lepszy i bezpieczniejszy. Tam też jest większa świadomość zagrożenia.

Nie narażajcie na kalectwo

Dzieci kierują ciągnikami rolniczymi, obsługują skomplikowane maszyny rolnicze, pracują przy żniwach i sianokosach. Niestety, dorośli często nie widzą w tym nic złego. Przeciwnie, cieszą się, że ich kilkuletni syn potrafi uruchomić maszynę i wyjechać nią w pole. Czasem dzieci robią to z chęcią zaimponowania rówieśnikom. – Kiedy spotykamy się w szkołach, dzieci same opowiadają. Pokazują ręce bez palców, opowiadają o wypadkach, w których uczestniczyło rodzeństwo, o urazach – mówi Mieczysław Tomaszewski. – Co najmniej połowa uczniów wiejskiej szkoły podstawowej przyznaje się, że przynajmniej raz kierowała ciągnikiem. Do dzieci też kierowana jest większość działań prewencyjnych PIP. – Praca z dziećmi i młodzieżą procentuje. Dorośli słuchają tego, co mówimy, jak długo siedzą na sali – komentuje Leszek Stryjewski. – Wtedy nawet zgadzają się z nami. Tyle że nawyki, przyzwyczajenia sprawiają, że błędy są powtarzane. Dzieci są ostrożniejsze i wykazują niekiedy więcej rozsądku. Do działań prewencyjnych włączają się również księża z wiejskich parafii, apelując z ambon o rozsądek.

Żniwa są tym okresem, kiedy nawet kilkuletnie dzieci są włączane do pomocy w polu. Dzieci doznają urazów, stają się kalekami, nawet giną. Także z powodu braku właściwej opieki. Według PIP, co roku na wsi wypadkom ulega około półtora tysiąca dzieci. Do większości z nich nigdy by nie doszło, gdyby w porę ktoś dorosły wykazał się wyobraźnią. ■

Wśród uczniów wiejskich szkół wiele jest ofiar niefrasobliwości dorosłych. Na zdjęciach dzieci z okaleczonymi dłońmi



Młodzież bez znieczulicy

Wolontariusz – anioł na zakupach

W życiu każdego człowieka przychodzi moment, kiedy budzi się potrzeba zrobienia czegoś dla innych albo przynajmniej zrobienia czegoś, czego nie da się zamienić na pieniądze – chęć zostania wolontariuszem.

– Nie wiem, czy robię coś takiego niezwykłego. Może czasami bardziej się w coś angażuję, bo taka już jestem, że z rękami, nogami i głową – śmieje się Paulina Maksińczyk z Powiatowego Centrum Wolontariatu w Drawsku. Kasia Śliwińska, jej koleżanka, potakująco kiwa głową. – W ten sposób zdobywamy nowe doświadczenia i umiejętności – dodaje.

Czasem ręce opadają

Istniejące od dwóch lat Powiatowe Centrum Wolontariatu w Drawsku skupia w swoich szeregach młodych ludzi, dla których czas przeznaczony dla innych jest najcenniejszy. – Zadaniem Centrum było tworzenie szkolnych klubów wolontariatu – opowiada Anna Kleban z Wydziału Organizacyjnego drawskiego Starostwa Powiatowego. – Kluby powstały w drawskim liceum i w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2, w Kaliszu Pomorskim, Czaplunku i Złocińcu. Wolontariusze pracują w świetlicach środowiskowych dla dzieci z rodzin patologicznych, pomagają im w odrabianiu lekcji, w organizowaniu gier i zabaw, konferencji i akcji, np. balów charytatywnych, zabaw dla dzieci, opiekują się kombatantami, emerytami, chodzą do szpitala. Nie trzeba wiele, by pomóc ludziom starszym, samotnym, odwiedzając ich domy, rozmawiając z nimi, robiąc zakupy czy pomagając w sprzątanii.

Kasia jest w maturalnej klasie, a w Centrum pracuje niemal od samego początku. – Najpierw to była ciekawość, co to jest i czy ja też umiem być wolontariuszem – opowiada. – Poszłyśmy na pierwszy dyżur do szpitala i myślałyśmy, że będziemy czytać dzieciom bajki. Będzie słodko, różowo, i już. Okazało się, że w wakacje oddział dziecięcy nie potrzebował naszej pomocy, więc trafiłyśmy na różne inne oddziały. Wróciłam do domu przybita i zniechęcona. Zobaczyłam ludzkie cierpienie, z którym nie mogłam nic zrobić. Ale na następny dyżur wróciłam do szpitala. Są też wspaniałe spotkania, pomagające, kiedy ręce opadają. – Poznałyśmy cudowną kobietę, polonistkę, autorkę książki, która miała w sobie tyle życia, że nie jeden nastolatek mógłby pozazdrościć jej werwy. Chcemy zaprosić ją do szkoły.



ZDJEŃCIE KAROLINA PAWŁOWSKA

Bo mi się chce chcieć

Zamiast spędzać wolne dni i wakacje przed komputerem albo telewizorem, Paulina biega do świetlicy, do swoich dzieciaków. Do głowy jej nie wpadnie pomyśleć: „nie chce mi się”. – Zawsze mam mnóstwo obowiązków – śmieje się od ucha do ucha. – Jestem w szkolnym samorządzie, zwykle po lekcjach biegnę na świetlicę, potem odrabiam to, co mam zadane, a potem jeszcze trening koszykówki. Jestem strasznie zalatana, ale ja lubię takie życie. Czasami naciagam dobę i nie mam z tym żadnych problemów. A czasami chciałabym, żeby dzień miał czterdzieści osiem godzin, bo już zupełnie na nic nie mam siły, ale potem myślę sobie, że warto. Moja siostra, rodzice, znajomi wiedzą, że nigdy na nic nie mam czasu. No chyba że w weekend. Praca z dziećmi powoli przeradza się w myśl o studiach pedagogicznych. – Praktyki już mam – uśmiecha się. Wolontariusz nie tylko daje, również wiele otrzymuje. – Uśmiech – wyjaśnia Paulina. – Dzieciaki, z którymi się spotykalam, były zawsze zaskoczone, że ktoś coś dla nich robi zupełnie bezinteresownie. Albo Asia, która przytuliła się do mnie, kiedy tylko spotkamy się gdzieś w mieście, i mówi do mnie „ciociu”. To wzruszające.

Wolontariat jest zaraźliwy

Paulina i Kasia to „zasłużone” wolontariuszki drawskiego Centrum. Należą do osiemki najbardziej zaangażowanych wolontariuszy, któ-

– Bo wolontariusz to jest taki trochę anioł – śmieją się dziewczyny z drawskiego Centrum Wolontariatu. Dlatego do Estonii też pojedzie z nimi anioł

rzy jadą do Estonii, by podpatrywać, jak u sąsiadów działa wolontariat, i poznawać nowe sposoby organizacji. Wśród prezentów, które zabierają ze sobą, jest drewniany anioł. – Bo wolontariusz to taki trochę anioł – śmieje się Anna Kleban – który robi zakupy albo poprawia poduszki, albo zwyczajnie potrzyma za rękę.

Wśród wolontariuszy jest stała rozszada – jedni przychodzą, inni odchodzą. – Trochę trudniej jest w okresie wakacji, bo dzieciaki wyjeżdżają z miasta, ale w roku szkolnym nie mamy żadnych problemów – wyjaśnia Anna Kleban. Kiedy na stronie starostwa pojawia się informacja, że potrzebny jest wolontariusz, zwykle nie trzeba długo czekać na odpowiedź. – Mamy takiego niewidomego podopiecznego, który jest szlachistą i potrzebuje opieki podczas turniejów, zgrupowań czy warsztatów. W momencie kiedy pojawiło się ogłoszenie, natychmiast zgłosił się chętny do podjęcia się opieki. Trudno powtarzać obiegową opinię, że wśród młodzieży panuje znieczulica lub że młodzi są nastawieni na czerpanie korzyści materialnych. – Wolontariat jest zaraźliwy – mówi Paulina. – Kiedy otwieraliśmy klub w naszej szkole, w zasadzie byłam sama. Teraz jest nas pięć, sześć osób, na których zawsze można polegać. – Teraz zostali tacy, którzy na każdy telefon w zasadzie są gotowi się stawić – dodaje Kasia. – Często te imprezy odbywają się w soboty i wiadomo, że pół dnia w plecach. Ale to lepsze, niż spędzić dzień przed telewizorem. Dziewczyny nie mają problemów z pogodzeniem wszystkich obowiązków. Mówią, że aby zostać wolontariuszem, wystarczy tylko trochę czasu.

KAROLINA PAWŁOWSKA

Nie tylko w tygodniu ekumenicznym

Ekumenicznie na skautowskim obozie

Wyspa na jeziorze Lubie w pobliżu Złocieńca została opanowana przez skautów. Powstała tu ponad 850-osobowa osada skautowsko-harcerska.

– Pierwszy obóz skautowski przed stu laty odbył się właśnie na wyspie – wyjaśnia Piotr Miara, komendant polskiej części obozu. – Postanowiliśmy uczcić to, organizując międzynarodowy obóz też na wyspie.

Poznać zwyczaje sąsiadów

Poprzedniego lata Niemcy korzystali z polskiej stacji harcerskiej i wówczas narodził się pomysł, by następny wakacyjny wypoczynek przygotować razem. Wyspa bardzo się skautom spodobała. Nie było również większych problemów, żeby przekonać właściciela wyspy, by udostępnił teren młodzieży.

Wspólny obóz to atrakcja dla obu stron. Dużą frajdą jest sposób porozumiewania. – Niemcy nie znają polskiego, nasze dzieci niemiecki raczej słabo. Pomocą jest język angielski, ale czasem słychać też stwierdzenie: „nagadałem się, aż bolą ręce”. W czasie wędrówek, wypraw kajakami czy łodziami, skauci i harcerze zwiedzali okolice i poznawali siebie nawzajem, swoje tradycje i zwyczaje.

Niemcy podziwiają zdyscyplinowanie polskich harcerzy, pomysłowość, samodzielność. – Nasze wyposażenie namiotów jest inne – opowiada Jakub Chocianowicz, kwatermistrz obozu. – Mamy technikę, zwaną pionierką, polegającą na tym, że większość wyposażenia obozowego budujemy z drewna. Dla Niemców to duże zaskoczenie, że dzieciaki budują same, i to jeszcze w sposób bardzo ambitny – tylko z drewna i sznurka, bez użycia nawet jednego gwoźdźca. U nich wszystko jest gotowe – tylko rozłożyć. Z szacunkiem patrzą więc na pracujących harcerzy. – Polscy harcerze są zadziwiająco samodzielni – dzieli się wrażeniami diakon Oliver Hach, zastępca komendanta obozu niemieckiego. – Wszystko robią sami! Nasze dzieci nie są do tego przyzwyczajone, nawet posiłki gotuje kuchnia dla wszystkich. Ale jest też dużo podobieństw w działaniu, a przede wszystkim doskonale porozumienie. Te dni zaowocowały wieloma wspólnymi przedsięwzięciami i mogę powiedzieć, że pojawiło się prawdziwe braterstwo. Dzieci doskonale się rozumieją, niezależnie od języka, którym się posługują. Wspaniałe jest móc to obserwować.

Z lewej: **Ksiądz D. Stachowiak, kleryk D. Hintz i ksiądz A. Chabraszewski podczas przygotowań do ekumenicznego nabożeństwa.**
Z prawej: **Skaut Ole na takim obozie jest już czwarty raz. W przyszłym roku też koniecznie chciałby się wybrać do Polski**

Skauting niemiecki jest organizacją przykościelną, przed każdym posiłkiem jest modlitwa, w ciągu całego obozu prowadzony jest cykl spotkań biblijnych. Polscy harcerze byli naprawdę zdziwieni, widząc, jak 800 osób zaczyna się modlić przed jedzeniem, ale – jak sami mówią – to było pozytywne zdziwienie. Pomysł im się spodobał.

Obowiązek wobec Boga

Robert Baden-Powell (założyciel skautingu, żyjący w latach 1857–1941) zapytany, gdzie w skautingu pojawia się religia, odpowiedział: „Wcale nie pojawia się. Ona tam zawsze była. Jest to podstawowy czynnik – fundament skautingu.” Jedną z podstawowych zasad skautingu jest obowiązek wobec Boga, zdefiniowany jako „wierność zasadom duchowym, lojalność wobec religii, która je wyraża i akceptacja obowiązków, które z niej wynikają”. Szczególnym przeżyciem dla wszystkich było uczestnictwo w nabożeństwie ekumenicznym. – Jesteśmy chrześcijanami, ewangelikami, mamy szczególny związek z naszą wiarą, z Jezusem Chrystusem, jest więc oczywiste, że chcielibyśmy uczestniczyć w nabożeństwie wspólnie z polskimi harcerzami. Ze

względu na powiązania partnerskie z Wierchowem zwróciliśmy się do tamtejszego księdza proboszcza – tłumaczy diakon Oliver. A to był strzał w dziesiątkę.

Ks. Antoni Chabraszewski CR ma doświadczenia z misji i poligonów wojskowych, na których przebywał przez dwadzieścia lat wraz z kapelanami innych wyznań chrześcijańskich. Organizował tam różnego rodzaju nabożeństwa ekumeniczne dla żołnierzy. – Pastor Frank Boyesen zwrócił się więc do mnie z prośbą o zorganizowanie nabożeństwa ekumenicznego na terenie wyspy – wyjaśnia ks. Antoni. – Skauci nie byli na niedzielnej Mszy św., zaproponowałem więc, żeby właśnie ta Msza mogła się odbyć. Zaplanowaliśmy to w taki sposób, na jaki pozwala nam prawo Kościoła katolickiego. Ks. Antoni spontanicznie rozpoczął spotkanie ze skautami rozmową w języku angielskim, którym wyśmienicie włada, skauci też sprawnie posługują się tym językiem, natychmiast więc został nawiązany dobry kontakt między młodzieżą a kapłanem przy ołtarzu.

Pierwsza część liturgii ekumenicznej (liturgia słowa) odbyła się z udziałem pastora ewangelickiego. Po kazaniu, wspólnym wyznaniu wiary i modlitwie wiernych w obu językach druga część liturgii odbyła się już według rytu rzymskokatolickiego. Msza zakończyła się błogosławieństwem.

BEATA STANKIEWICZ



ZDJĘCIA BEATA STANKIEWICZ



PANORAMA PARAFII

Pw. św. Jana Chrzciciela w Łęknie

Nowe ławki pozostają puste

Parafia w Łęknie położona jest między Koszalinem a Kołobrzegiem. Wydawałoby się, że to najlepsza z możliwych lokalizacji.

Mieszkańcy Łęknia nie podzielają tej opinii. Miejska zabudowa Koszalina nie sięga aż tak daleko, a z kolei do brzegów morskich jest kilkanaście kilometrów, co sprawia, że miejscowość nie jest atrakcyjna turystycznie.



ZDJEŃCIE KAROLINA PAWŁOWSKA



KS. JAN BORZYSZKOWSKI

wyświęcony w 1986 r. w Słupsku. Pracował w Biesiekierzu, Sławnie, Ustce i Duninowie. Od 1997 r. jest proboszczem w Łęknie.

Wiernych ubywa

– Dlatego wszyscy, co mają siłę, to stąd uciekają, pracy szukają – mówi z namysłem napotkana kobieta. Podobnie widzi to proboszcz, ks. Jan Borzyszkowski, który od dziesięciu lat duszpasterzuje w Łęknie. Tę niewielką, bo liczącą niespełna półtora tysiąca osób, wspólnotę tworzą mieszkańcy dziesięciu wiosek i wioseczek. Wiernych wciąż ubywa. Widać to zwłaszcza po pustych ławkach w kościele. – Ta duchowość ożywia się może bardziej, kiedy przychodzi czas przyjmowania sakramentów – mówi proboszcz. – Są wierni z prawdziwego zdarzenia, ale jest i wielu obojętnych, a nawet oziębłych. Myślę, że jest tu sporo winy rodziców, którzy nie dają dobrego przykładu swoim dzieciom. Nie wszystko da się zrobić w szkole czy w kościele. Na szczęście są i tacy, którzy z chęcią biorą się do pracy i z zaangażowaniem podejmują się

różnych działań. – Dotyczy to wielu zadań, które przynosi życie parafii, tak liturgicznych, jak i gospodarczych – podkreśla ks. Jan. – Wśród osób, które szczególnie angażują się w życie parafialne i dbają o potrzeby wspólnoty, można wymienić Aleksandra Woźnickiego, jego brata Stanisława, Zbigniewa Sawickiego, Marianna Nowaka, Elżbietę Góral, Mariannę Jagieło, Wiesławę Kotalę, Mieczysława Straszaka, Leokadię Kołodziejczyk. Są blisko kościoła i zawsze można na nich liczyć.

Grupy parafialne

Pięcioosobowa rada parafialna wspomaga proboszcza w sprawach drobnych remontów, organizacji uroczystości parafialnych i stara się dbać o stronę organizacyjno-materiałną. Przewodniczącym rady jest Aleksander Woźnicki, zarazem szef tutejszej Ochotniczej Straży Pożarnej. Strażacy rów-

niez nigdy swojej pomocy nie odmawiają, czy to gdy chodzi o prace przy świątyni, czy zapewnienie bezpieczeństwa podczas procesji, gdyż przebiegająca przez wieś droga to krajowa jedenastka. O najuboższych dba grupa charytatywna. Być może niedługo przerodzi się ona w formalnie działającą parafialną Caritas. W parafii do wspólnej modlitwy zachęcają członkowie Żywego Różańca. Proboszcz ze smutkiem zauważa, że nie jest to duża grupa, ale – jak podkreśla – do modlitwy nikogo nie da się zmusić, ta potrzeba musi wypływać z serc ludzi. Liturgiczna Służba Ołtarza to dwunastu ministrantów. – Brakuje tu także wsparcia rodziców. Bo nawet jeśli zgłasza się młody kandydat, a brakuje obecności rodziców na Mszy św., to zwykle kończy się to bardezgo szybko, słomiany zapal nie pozwala wytrwać w obowiązkach ministrantów – dodaje ks. Jan.

KAROLINA PAWŁOWSKA

Z wieży zabytkowego XV–XVI-wiecznego kościoła rozbrzmiewają dwa równie stare dzwony. Jeden z nich nosi imię Anna

ZDANIEM PROBOSZCZA

Mimo trudności finansowych zawsze udaje się coś zrobić. Powoli zbijamy tynki, do remontu są organy, czeka nas wymiana instalacji. Na razie wszystko to plany bardziej w głowie niż na papierze, bo parafii zwyczajnie nie stać. Cieszę się, że udało się wymienić ławki, bo teraz czuję się spokojniejszy, że nie dojdzie do żadnego nieszczęścia. Chciałbym, żeby więcej mieszkańców uczestniczyło w Mszach św. – zarówno niedzielnych, jak i w dni powszednie. Starsi ludzie powoli odchodzą, a wśród młodszych brakuje ich następców. To smutne, że następne pokolenia nie czerpią wzorów pobożności od swoich rodziców czy dziadków. Miejsca, które są zwalniane w kościele, pozostają puste. Pocieszaliśmy się, że może kiedy uda się zainstalować nowe ławki w świątyni, znajdą się i tacy, którzy będą chcieli w nich usiąść. Niestety, tego na razie nie widać. Plany na najbliższą przyszłość nie są wielkie – wygładzić ściany w świątyni, wyremontować organy, chodnik wokół kościoła. Nie chciałbym, żeby to pozostało tylko w sferze marzeń. Być może trwa to powoli, ale w miarę sił i możliwości uda nam się te zamierzenia wprowadzić w życie.

Zapraszamy na Msze św.

- W niedzielę: 8.30, 11.30 – Łęknio, 10.00 – Dobrze
- W dni powszednie: 17.00 (latem 18.00) – Łęknio

GOŚĆ KOSZALIŃSKO-KOŁOBRZESKI

koszalin@goscniedzielniny.pl

Adres redakcji:
ul. Stoczników 11–13, 75-256 Koszalin
tel. 094 341 03 14

Redagują: ks. Dariusz Jaślarz – dyrektor oddziału,
Julia Markowska, Karolina Pawłowska